

Zobacz tę książkę
w Katalogu *e media*

Zamów książkę
w naszej księgarni

Czytaj fragmenty
on-line

Napisz recenzję
na forum e-czytelni™

Przeczytaj wywiad
z Autorem

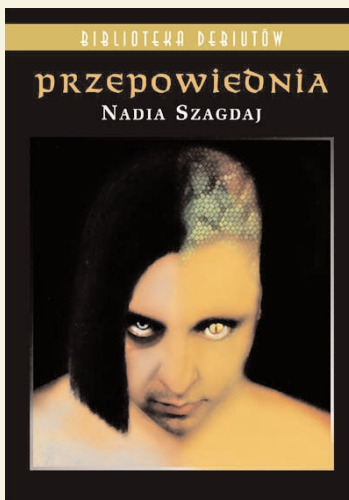
Przejrzyj
Katalog Książek

Wydawnictwo „e media”
ul. Równoległa 63
42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
tel. kom. 606 902 990
e-mail: biuro@wem.pl
serwis firmowy:
www.emediaWydawnictwo.pl
księgarnia internetowa:
www.bukinista.com.pl

Nadia Szagdaj Przepowiednia [fragment]

ISBN 978-83-89401-22-9

format A5, stron 128



Człowieka–Wilka (Imperatora) i przywrócenie dawnego ładu w mieście. Wkrótce Smok wyrusza w długą, niełatwą podróż ku swemu Przeznaczeniu...

Przepowiednia odkrywa ludzkie charaktery, ich słabości i emocje, a także mechanizmy intryg i manipulacji władzy, akcentuje tęsknotę do form wyrażających tryumf dobra nad złem.

Nadia Szagdaj urodziła się w roku 1984. Pierwszy utwór literacki napisała w wieku lat osiemnastu. Aktualnie prowadzi atelier fotograficzne, walczy o tytuł magistra na Akademii Muzycznej we Wrocławiu i zajmuje się rodziną. Dużą rolę w jej życiu odgrywa astrologia, wróżby i radiestezja. Stara się znaleźć wspólne ogniwo dla swoich zainteresowań i zajęć, co w rezultacie tworzy jej autorskie *corepondences des art* w postaci literatury fantasy, zespołu („Yunnaya”), w którym śpiewa i bajkowych zdjęć autorstwa ekipy „Apertura” — jej atelier.

Południe krainy Waldu. Na placu zamkowym Haru, pogrążony w smutku tłum, obserwuje konanie ostatniego Białego Rycerza Przepowiedni. Strach przed tyranią Imperatora paraliżuje obecnych. W tym samym czasie, na północnym krańcu Waldu, pęka wielkie smocze jajo — rodzi się szczególnie mieszkaniec świata: Sprawiedliwy Sędzia–Smok. Jego zadaniem jest, zgodnie z Wielką Przepowiednią, zgładzenie okrutnego

BIBLIOTEKA DEBIUTÓW

Wydane w tej serii:

Joanna Szymańska *Przez okno wiersza*

Anna Stryjewska *Mistrzowie życia*

PRZEPowiednia

Nadia Szagdaj

e-book

wydawnictwo
e media

Częstochowa, 2009

Ilustracja na okładce i zdjęcie Autorki
© ATELIER FOTOGRAFICZNE APERTURA

Redakcja i korekta
MAŁGORZATA CIUPIŃSKA

Redakcja techniczna i projekt okładki
MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

© Copyright by Nadia Szagdaj
and Wydawnictwo „e media”, Częstochowa 2009

Wydanie I

ISBN 978-83-89401-18-8
dla wersji elektronicznej (e-book)

ISBN 978-83-89401-22-9
dla wersji drukowanej

Dwudziesty siódmy tytuł Wydawnictwa „e media”

Książka drukowana do nabycia m.in.
w Internetowej Księgarni „e media”:
<http://www.bukinista.com.pl>

Jeśli masz ochotę napisać recenzję
lub podzielić się swoimi uwagami o książce,
zrób to na forum:
<http://www.eczytelnia.pl/forum/viewforum.php?f=29>

Wydawnictwo „e media”
42-200 Częstochowa, ul. Równoległa 63
www.emediaWydawnictwo.pl
wydawnictwo@wem.pl

Printed in Poland

OD AUTORKI

Nazywam się, jak się nazywam. Mam ileś lat, ileś dzieci. Mam jakieś marzenia. Jednak żyję w czasach, w których ja, jako odrębne istnienie, nie mam żadnego znaczenia. W których globalizm przyćmiewa indywidualizm, a wyróżniająca się jednostka, jaką byłam od dziecka, ma w życiu ciężko. A gdy jest ciężko, człowiek śni o pięknych miejscach i czasach, w których bohaterowie tak wyróżniają się wśród innych, że nie sposób ich przeoczyć. Oto jeden ze snów: Przepowiednia — sen na jawie i jawa we śnie.

Nie chcę, abyście odebrali „Przepowiednię” jednoznacznie. Mam nadzieję, że każdy z Was doszuka się w niej innego sensu. Niech każdy rozważy, czy przypadkiem nie opisuje ona dalekiej przyszłości, a może jednak jej akcja rozgrywa się w czasach, o których historycy piszą, jakoby nie było w nich jeszcze miejsca dla uformowanego gatunku ludzkiego? Niech zastanowi się nad pojęciem dobra i zła, rozpatrując je z punktu widzenia tego drugiego. Daję Wam mój sen, moją „Przepowiednię” i życzę równocześnie wielu innych, wielkich snów...

N. Sz.

Na południu krainy Waldu, u podnóża góry Har, najwyższego szczytu pasma górskiego Redes oplatającego ową krainę, wznosi się niezwykle zamek. Pielgrzymów podróżujących tymi drogami napawa wstrętem i odrazą. Jego wątpliwa chwała rozniosła się już po globach wszystkich trzech sąsiadujących ze sobą Planet, więc każdy, kto tu zawitał, szybko zawracał, czując zapach śmierci. Trzy czarne wieże, wysokie na trzysta metrów każda, stanowiły symbol władzy, potęgi i terroru, jaki panował w tej krainie od wielu ciężkich, krwawych lat. Strzeliste i monstrualne zdawały się przebijać chmury, jak miecz bestii zatapiający się w białej skórze nagiej niewiasty. Wieże, jako najwyższy, „kulminacyjny” punkt rozpościerającego się wokół nich miasta Har, z jednej strony zamkniętego górą — imienniczką, z drugiej zaś rzeką, wciąż brutalnie i natrętnie przypominały mieszkańcom o okrutnej rzeczywistości.

Nie zawsze jednak tak było. Za czasów świetności Har prze-wijało się przezeń wielu podróżników, handlarzy, kupców, minnesingerów i czarowników, o różnych kolorach skóry, różnych pochodzeniach i wierzeniach. Miasto wrzało i kipiało, pełne rozśmianych twarzy, wesołych głosów i dobrych słów. Jednak teraz stało się zamkniętą enklawą ciemieźzonych, przerażonych ludzi, żyjących pod dyktandem władcy tyrana. Dziś na wielkim placu zamkowym Har zgromadził się tłum gapiów. Stali tam z twarzami koloru popiołu, wpatrzeni tępo w stojący w centrum miasta szafot. Nie był to jednak zwykły szafot, bowiem nie było tam srebrnego, spadającego na kark ostrza gilotyny, ani pnia z wbitym węńtoporem, ani sznura zakończonemu pętlą. To urządzenie zaplanowano tak, by śniło się po nocach, stawało przed oczami jako oblicze śmierci, a tym, którzy zgromadzili się na placu, nie pozwalało oderwać od siebie wzroku. Metalowa konstrukcja śmiercionośnego monstrum, wznosząca się na wysokość nieco niższą niż wieże zamku i będąca widoczną z każdego punktu miasta, posiadała nawet własne imię. I choć rosła pod samo niebo, zawsze dobrze było widać, co dzieje się na górze. Hak. Nie można było znaleźć lepszej nazwy. Na szczycie srebrnego, oksydowanego masztu w stronę

zamkowych wież wyciągało się ramię. Do jego końca przytwierdzono gruby, stalowy łańcuch. Na końcu łańcucha wisiał zaś ów Hak, wielki jak stare drzewo. Ludzie wpatrzeni w niego szlochali lub stali bladzi, milczący i pogrążeni w smutku. Niebo płakało rzewnymi, ciężkimi łzami, a chmury przysłaniały wierzchołek narzędzia, jakby chcąc ukryć to, co najbardziej haniebne w całej historii Waldu. Jednak to wszystko na nic. Na nic płacz i gniew. Na nic powstania, bunty i rebelie. Na nic zamach na życie Imperatora. Na nic próby poprzednich Jedenastu. Dziś zginie tu Dwunasta — ostatnia nadzieja na wydostanie się z matni. Pozostaje teraz tylko czekać na wybawcę z Wielkiej Przepowiedni.

2

Zegar wybił południe. Dzień był pochmurny i słotny. Nagle, ziemia lekko zadrżała i z hukiem otworzyła się metalowa zapadnia w bruku placu zamkowego. Klapy jej przybrały kolor rdzy, jednak nie od wody, niemal dzień w dzień roszącej ziemi Waldu, która podczas deszczowych miesięcy w Har, popołudniami, lała się z nieba niczym z ogromnej rynny. Kolor ten klapy przybrały od krwi, która spływała na nie tak często, że nie domywał jej nawet ów deszcz. Gawieź odsunęła się od oksydowanego płotu, ogradzającego zapadnię. Spod ziemi pomału zaczęło wyłaniać się coś, co wyglądało jak trójząb z przekrzywioną pod kątem prostym główką. Do ramion owych wideł żelaznymi kajdanami przykuty był człowiek. Gdy wysuwał się spod ziemi, wyglądał jak ptak rozpostarty do lotu. Smutny był jednak ten widok, gdyż ptak leciał właśnie nie ku wolności, a ku śmierci. Leciał po raz ostatni... Nieprzytomnie podniósł dotąd opuszczoną głowę i spojrzał na lud. Był jednak tak słaby, że za chwilę znów omdlał, by bez świadomości i w ciszy, po kilku minutach, dotrzeć na górę — tuż nad połyskujące ostrze podwieszonego pod srebrny maszt Haka. Wędrówkę jego zakończyło mocne szarpnięcie, poprzez które oprzytomniał na tyle, by móc znów otworzyć oczy i ocenić swoje położenie. Mimo to nie szarpał się, będąc pewnym swego losu, wiedząc, że nie ma już ratunku. Na jego twarzy malował się jednak niepokój, żal i ból, który towarzyszy każdemu, przytomnie patrzącemu w oczy śmierci, a żegnającemu się z ukochanym życiem. Chmury rozstały się nieco, tworząc glorię. Błysk słonecznego światła wdarł się na plac i oświetlił umęczoną twarz skazańca. Zacisnął powieki, bo — może złośliwa, a może żałująca go — Matka Natura skierowała promienie na ostrze Haka, znajdującego się poniżej, tworząc tak ostre i rażące refleksy, że nie można było na nie patrzeć.

Przez moment ludziom stojącym na dole zapało dech w piersiach, gdyż mocne światło dało wrażenie, jakby Dwunasty zniknął w przestworzach. Patrzyli, zasłaniając oczy, wyraźnie poruszeni. Przeszępowali z nogi na nogę, ożywieni, zaczęli mówić do siebie półgłosem i stawać odruchowo na palcach, by „lepiej widzieć”.

Jednak czar niemal natychmiast prysł, gdy słońce schowało się znów za chmury: skazaniec wciąż tam był, coraz odleglejszy, coraz bliżej końca swej drogi. A pod nim widniał Hak, ten właśnie zbroczony zaschniętą od niepamiętnych czasów i wciąż skrapiany nową krwią wielu niewinnych istnień Hak, ten, który napawał lękiem wszystkich mieszkańców Waldu.

Jakaś kobieta podniosła lament, gdy Dwunasty znów ukazał się oczom tłumu, krzycząc, że Przepowiednia już nigdy się nie spełni. Ludzie zamarli, nie patrząc w jej stronę, gdyż już samo mówienie o Przepowiedni było w Har zabronione i karane czasem nawet najsurowszą z kar. Kobieta padła na kolana i zaczęła głośno, dławiąc się łzami, cytować słowa Przepowiedni — święte i będące dla wielu najważniejszymi w ich życiu. Jednak nie trwało to długo, bo szybko została zabrana z placu przez straż. Gawiedź nawet nie odprowadziła jej wzrokiem, wciąż patrząc w niebo. Niejednemu jednak popłynęła z oka powstrzymywana łza. Dziesiątki zgromadzonych na placu wylewało łzy — bezsilności, gniewu, smutku, żalu, przerażenia, wrogości i beznadziei.

Oślupiałych ludzi wyrwał z letargu głośny, nieprzyjemny, nadany przez strażnika dźwięk rogu. Brzmiał ostro i fałszywie. Niósł ze sobą zawsze straszne wieści. Towarzyszył wielu w ostatnich chwilach życia. Dźwięk, który oznaczał, że oto nadchodzi przekleństwo Waldu — tyran, którego nazywano tu Imperatorem. Z otwartej czeluści ciemnych, podzamkowych korytarzy, z której przed kilkunastoma minutami wznosił się w niebo skazaniec, wysunęła się teraz lustrzana kapsuła. Wznosiła się jednak sama, bez pomocy urządzeń. Wznosiła się powoli, potęgując w ludziach napięcie i strach. Dwunasty był jednak zbyt zmęczony, by zrobiła na nim większe wrażenie. I tak wiedział, kto nią kieruje i do czego dąży.

Kapsuła wyglądała jak przewrócone na bok jajo. Człowiek, który siedział w jej wnętrzu, dokładnie widział wszystko i wszystkich na zewnątrz. Jednak nikt nie mógł dojrzeć jego samego. Zaplanowany chyba przez wszystkie siły kosmosu lot kapsuły, niepodtrzymywanej przez żaden maszt i nieciągniętej przez łańcuchy, miał swoją metę w dogodnym do oglądania egzekucji miejscu — naprzeciw Haka. Kapsuła, w kształcie elipsoidy, odbijała prześwitujące przez chmury słońce, lecz nie błyszczała jak Hak,

ale wchłaniała refleksy jak gąbka wodę. Gdy dotarła do końca swej podróży, zawisła miękko w powietrzu, tak jakby osiadła na puchu chmur. Jakby była lekkim piórem ptaka, które podczas długiego lotu ptak zgubił gdzieś przez przypadek, a ono spadając, odnalazło koniec swej drogi gdzieś w krainie Mezu, na pokrywie wiecznego śniegu.

— Zaczęło się — wyszeptał jakiś przerażony mężczyzna, a jego głos rozniósł się w kroplach deszczu.

Lud zamarł.

Długa droga do spokoju, zbyt wysoko jego kiść... Jednak zrobię, co w mej mocy, by ostatni nie spadł liść. Bo gdy spadnie na dziedziniec, tam gdzie wieczny pada mrok, zjawi się me przeznaczenie, nienawistny Sędzia-Smok” — postać w czarnym płaszczu klęczała i gorliwie wypowiadała słowa. Kaptur założony na głowę rzucał cień na jej zamknięte jakby w panice oczy, jakby w geście, który miał całkowicie odizolować ją od świata. Spod kaptura zaś wystawały kruczoczarne, długie do brody włosy, które, gdy postać wymawiała niektóre spółgłoski, delikatnie unosiły się i opadały. Mężczyzna — bo on był ową postacią — wypowiadał powyższą modlitwę setki razy. Za każdym razem coraz gorliwiej. Z każdą sekundą pot coraz srebrzyściej perlił się na jego czole, a z każdą nocą przybywało mu również srebrzystych włosów. Wiedział, że czasu pozostało niewiele i musi się śpieszyć, by nie dopuścić do katastrofy. Setki razy — setki myśli. Jedna po drugiej jak niechzące odlecieć z padliny owady, natarczywe i nieznośne, od których opędział się jak mógł, a te wciąż wracały i wracały. — Nie zniosę tego... Setki myśli, setki obrazów, setki zabitych, straconych... To dobrze... dobrze, że zabitych. Ale gdzie mój główny sprawca?... Och, nie myśl o tym! — zdawał się sam mówić do siebie jakby przez sen. — „Długa droga do spokoju...”

Z zaświatów wyrwał go dopiero pewien głos. Głos, który dobrze znał. Nie tak grzmiący i mocny jak dawniej, lecz mimo wycieńczenia, wciąż donośny.

— Imperatorze! Czemu na mnie nie patrzysz?

Zaciśnięte dotąd oczy mężczyzny w kapsule otworzyły się. Były tak jasne, że prawie zlewały się kolorystycznie z białkami, jedynie czarna obwódka wyróżniała jego źrenice i zdradzała, że są jasnoniebieskie. Spojrzał z przestrachem na skazańca, który był teraz w niedużej odległości od niego. Patrzył mu prosto w oczy, choć przecież tamten nie mógł go widzieć. Nikt nie mógł go widzieć.

— Patrzę, gnido... — wycedził przez zaciśnięte, białe jak wieczny śnieg zęby.

— To dobrze... że już patrzysz... — Dwunasty mówił resztką sił.

Na dole, na placu zamkowym żołnierz przybocznej straży zamkowej odczytywał oskarżonemu winę. Więzień nie słuchał go jednak. Jego położenie sprawiało mu ból, ale resztką sił zdobył się na uśmiech. Skierował go w stronę kapsuły. Siwe, mimo dość młodego wieku, włosy powiewały na wietrze, który na tej wysokości był całkiem silny. Przez skórę prześwitywały mu żebra, przypominające zaorane pole, nieznacznie poruszające się, gdy łapał powietrze. Jednak wciąż żył. I to liczyło się najbardziej.

— Imperatorze... Smok... i tak do ciebie przyjdzie... teraz to wiem... — mężczyzna zdawał się zapomnieć o tym, że patrzy w oczy śmierci.

Jego biała skóra w słońcu, które wzyerało przez chmury, błyszcząca jakby pokryta szronem.

— Lupus! Słyszysz? — teraz skazaniec znów uśmiechnął się, jakby wiedział, że Imperator na dźwięk swojego imienia przerwie gorliwie powtarzaną modlitwę. — Lupus... coś ci powiem... każdy ma swoją... wersję tej modlitwy... Tej właśnie... którą powtarzasz... Chcesz posłuchać mojej?... — jego głowa na chwilę opadła.

Jednak nie minęło kilka sekund, a znów oprzytomniał i wciągnął powietrze, jakby chciał coś za chwilę wyrecytować jednym tchem. Wiedział, że nerwy poniosą Imperatora i pociągnie za dźwignię zwalniającą łańcuchy przytwierdzające go do widel szybciej, niż strażnik skończy odczytywać wyrok. Choć na chwilę chciał jednak wrócić do słów Wielkiej Prastarej Przepowiedni — przed śmiercią zdążyć wypowiedzieć choćby jedno z nich. Zaczął więc mówić boleśnie, acz wytrwale, dbając tylko o to, by jego głos był mocny i donośny:

— „Długa droga... do spokoju... zbyt wysoko jego kiść... Wiem, że zrobisz teraz wszystko, by ostatni...” — Dwunasty urwał z lekkim przydechem.

Jego głowa mocno szarpnięta, uniosła się ku górze. Stało się. Mimo iż dzwon nie wybił mu ostatniej godziny, kajdany puściły. Jego lot ku śmierci wydawał się najdłuższą chwilą ze wszystkich chwil wszechczasów. Choć od śmierci dzieliły go sekundy, wiedział, że teraz musi wytrzymać na Haku jeszcze przez chwilę. Nie umierać. Zatrzymać życie jeszcze na kilka sekund. Tłum zawył i odsunął się jeszcze bardziej. Teraz otaczał plac zwartym łańcuchem, ale prawie nikt już nie patrzył w górę w nadziei, że może coś jeszcze

niezwykłego się stanie. A on przez moment znów wyglądał jak ptak. I choć na dole nie było tego słycać, zimna stalowa rzeczywistość uświadamiająca wszystkim, że nie jest ptakiem, przeszła jego skórę z łoskotem, rozrywając ścięgna i mięśnie brzucha, potem wątrobę i unieruchamiając go, wystrzeliła z jego pleców, tuż nad krzyżem, układając go do góry nogami, tyłem do kapsuły. A ta teraz zaczęła swój lot ku drugiej stronie. Jak zawsze. Jak przy każdej egzekucji. Jednak, gdy Imperator znalazł się w pewnej odległości, przekonał się, że ta egzekucja jest inna. Inna od wszystkich. Ciężko oddychając — słowa Dwunastego wywarły na nim wielkie wrażenie — zamarł na moment, nie mogąc wykrztusić słowa. Skazaniec natomiast zamrugał oczami. — Boli... wytrzymać ból — myślał, konając. Z ust popłynęła mu struga krwi. Popatrzył na wystającą z brzucha tylnią część Haka. Resztką sił zaparł się, by za nią chwycić.

— Zdychaj — powiedział półgłosem Lupus, zaniepokojony, lecz nie do końca świadomy tego, co Dwunasty chciał teraz osiągnąć.

— Jeszcze nie... Aach... — konający mówił sam do siebie.

Wraz z krwią płynęły mu łzy. Każdy ruch sprawiał mu teraz niewyobrażalny ból. Lupus zamarł. Poczł, jak Dwunasty plądruje mu myśli i wchodzi w najbardziej szalone części umysłu. Człł, jak obnaża całą prawdę o jego pochodzeniu, przeszłości i przyszłości, chodź tej ostatniej nawet on sam przecieź nie był pewien.

— Zdychaj!!! — krzyknął przerażony.

Powoli zaczęło do niego docierać, że skazaniec na coś czeka. Nagle z płuc Dwunastego wyrwał się potworny krzyk. W tym samym momencie na drugim, północnym krańcu Waldu, pękło wielkie smocze jajo.

Mężczyzna na Haku opadł bezwładnie. Miał otwarte oczy. Choć były nieruchome, zamarły z wyrazem dopełnionego obowiązku i nieopisanej ulgi. Po jego rękach i nogach płynęła krew, okraszając po raz kolejny wysłużoną klapę, kryjącą lochy i podziemne przejścia zamku. Właśnie umarł ostatni Biały Rycerz Przepowiedni. A nieprzytomny Imperator osunął się na podłogę kapsuły.

4

Kapsuła zaczęła opadać w dół. Zwyczaj ustanowiony, rzecz jasna, przez Imperatora nakazywał, by skazańca nabitego na Hak obżarły ścierwojady, krążące nad Har. Nigdy przedtem ich tu nie było, lecz zapach krwi po kilku pierwszych egzekucjach wykonanych jeszcze wiele lat temu, zwałił je pewnego dnia. Od tej pory zadomowiły się w mieście, stanowiąc kolejny haniebny jego symbol. A Lupus, korzystając z okazji, wprowadził kolejne barbarzyńskie prawo, którym doszczętnie upokorzył swój lud.

Ludzie jeszcze długo po egzekucjach przychodzili na miejsce ich wykonywania, by składać hołdy dobrym duchom, które miały zaprowadzić dusze zmarłych w zaświaty. Składali kwiaty, choć te, w Har, nie miały żywych, lśniących pięknem kolorów. Wszystko było tu smutne i bezsensowne. Szczególnie od dziś.

Tym razem, jak nigdy dotąd po egzekucjach, po śmierci ostatniego Rycerza ludzie wpadli w amok. Choć zazwyczaj rozchodzili się w ciszy do domów, tym razem płacz, lament i krzyki przepłoszyły nawet kołujące nad Hakiem od kilku minut ptaki. Na dole, w podziemiu, na kapsułę czekali podwładni Lupusa, którzy zaczęli się już niepokoić tym, że ludzie mogą podnieść bunt i rzucić się do kapsuły. Ich Pan był teraz w niebezpieczeństwie o tyle większym (o czym nie wiedzieli), że leżał przecież nieprzytomny na podłodze kabiny. Gdy krzyki nasiliły się, wyszedł z cienia niewidoczny dotąd starzec, stojący w kącie małego przedsionka, w którym zgromadziły się sługi. Powłóczył krokiem podszedł do kapitana straży i nie zatrzymując się przy nim, skinął ręką jakby od niechcenia. Strażnik zareagował jednak natychmiast i na ten gest wyszedł szybko z przedsionka. Starzec, o imieniu Jago, zatrzymał się nieco dalej, lekko zaniepokojony i zadumany, gładził ręką długą, szarą brodę.

Kilka chwil później dało się słyszeć złowieszcze dźwięki rogów, tych samych, które obwieszczały rychłą śmierć skazańców. To straż wydawała ostrzeżenie ludowi. Dźwięki były coraz głośniejsze i częstsze. Jednocześnie krzyki stawały się słabsze i zamierające. Ludzie wiedzieli, co mogłoby się stać, gdyby nadal głośno protestowali. Dlatego, mimo że ciągle głośno płakali, odeszli z placu,

by móc w spokoju i bez niepotrzebnego rozlewu krwi, wrócić nań wieczorem z modłami.

Imperator samotnie wracał na ziemię. Po zetknięciu z gruntem, kapsuła zaczęła się otwierać. Słudzy ujrzeli swojego Pana leżącego na ziemi, przykrytego czarnym płaszczem, z wyhaftowaną na nim srebrną nicią postacią wilka. Płaszcz, który zrobiony był z lekkiego materiału, opadł na niego, gdy ten osunął się na ziemię i zakrył go jak całunem żałobnym.

— Panie! — zakrzyknęli zgodnie i rzucili się w stronę Imperatora.

Ci, którym dystans kilku kroków od kapsuły zajął nieco więcej czasu, gdzieś w sercu mieli nadzieję, że w końcu zdechł... Lecz ruszyli i oni, gdyż wiedzieli, że jeden z nich wciąż obserwuje resztę. Że w razie czego wskaże niewiernych i niezadowolonych. Jago — Czarny Mnich. Postrach wśród dworzan.

Gdy służba wyniosła Lupusa z kapsuły, był on wciąż nieprzytomny. Podziemnym korytarzem prowadzącym w jedną stronę do lochów, a w drugą do zamku, zabrano go do komnaty, gdzie ułożono na miękkich skórach i poduszkach. Idący w pewnej odległości za nimi Jago, teraz zbliżył się do Imperatora i podał mu sole trzeźwiące. Lupus ocknął się i prychnął jak pies. Zobaczył nad sobą twarz opiekuna. Była rozmyta i niewyraźna.

— Już po wszystkim, mój Panie — rzekł Jago. — Przepowiednia już się nie spełni — jego głos koił i mamił.

Jak przez całe życie, tak i w tej chwili też. Lecz oczy Imperatora nagle otworzyły się szeroko.

— Liść! — krzyknął. — Musimy... — zerwał się jak porażony przez piorun, lecz natychmiast upadł na ziemię.

Cienkie strużki potu zalały mu twarz. Jago podtrzymał go za ramię.

— Spokojnie. Chłopak zobaczy co z drzewem. Teraz odpoczywaj, Panie — Jago hipnotyzował go swoim spokojem i łagodnością.

Zgodnie ze swym zwyczajem skinął ręką na stojącego z boku młodego chłopca, nie patrząc w jego stronę, a ten natychmiast wybiegł z komnaty.

— Liść z pewnością nadal tam jest — dodał Jago.

— Nie rozumiesz! — wysyczał Imperator. — Przeklęty... dalej żył, mrugał, oddychał. Krew się z niego lała jak z zarzynanego wołu,

a on wciąż żył. Nie widziałeś tego. On... charkał krwią! Ale dychał... Mamrotał coś pod nosem, trzymał Hak... On czekał. Cekał, żeby ten mieszaniec się wyklął.

— Ale przecież Ostatni nie żyje, a Przepowiednia głosi... — wtrącił się ochoczo do rozmowy stojący obok strażnik, który uprzednio odczytywał Dwunastemu wyrok, lecz Lupus przerwał mu, patrząc na niego spode łba.

— Zamknij się, śmieciu! Wiem, o czym mówię. Ciebie tam nie było — znów osłabł, zachwiał się i opadł na skóry.

Za chwilę dodał już spokojniej:

— Chcę mieć pewność. Zobaczymy, co gamoń powie, jak wróci.

Zapadła cisza. Wszyscy siedzieli w napięciu, oczekując wieści. Droga na dziedziniec była długa, więc każdy z nich miał chwilę na przemyślenia. Dla niektórych, chwilę ciągnącą się w nieskończoność. Lupus bał się o swoje życie. Jago... Jago natomiast wiedział, po co jest mu potrzebny Imperator. Część dworzan bała się, że jeśli Przepowiednia się spełni, będą musieli uciekać. Część jednak liczyła na to, że właśnie się spełni. Każdy zajęty był swoimi myślami, ale wszyscy mieli kołaczące w głowach jedno słowo: liść.

Jak to się zaczęło? Jak doszło do takiego stanu rzeczy? Cóż... nie jeden dałby uciąć sobie rękę, by się dowiedzieć. Może wtedy byłoby łatwiej temu wszystkiemu zapobiec?

Zanim Lupus przyszedł na świat, życie w Har było zupełnie inne. Mimo słoń i deszczowych dni, było dobre i spokojne. Jednak los chciał, że wygnany za czarną magię Mnich Jago, tułając się pewnej nocy po lesie, znalazł na poszyciu niemowlę leżące obok martwej matki, która w ostatniej chwili przed śmiercią zdążyła okryć je płaszczem. Znaki na jego skroniach i jasne oczy potwierdziły znaną Mnichowi krótką, ale jakże ważną i cenną historię chłopca. Oto, leżąca obok dziecka kobieta, tak jak Jago, oddała się sztuce czarnej magii. Ludowe przesady głosiły jednak, że by osiąść wielką moc, czarownica musi pod postacią wilczycy oddać swój wianek przywódcy watahy. Jago znał ją jeszcze z czasów, gdy przebywał w Har, a teraz, nieszczęsna, leżała martwa: kobieta, która, by zyskać respekt i szacunek otoczenia, zawierzyła swój los przypowieściom

i pozwoliła omamić się najgorszemu wrogowi, jakiego mogła spotkać na swej drodze, Mnichowi Jago.

Mnich obiecał jej pomoc i wykorzystując wiedzę płynącą z nauk czarnej magii, przemienił ją w wilczycę. Jednak kobieta, będąc już w ciele wilczycy, długo nie wracała. Jago myślał, że mogła dać się złapać w sidła kłusowników, od których roilo się w tutejszych lasach. Licząc na szybki powrót do Har, postanowił odszukać ją mimo wszystko. Jego pomoc nie była przecież bezinteresowna: ją samą z jego ręki też spotkałaby co prawda śmierć, ale dziecię, które narodziłoby się z tego związku, mogło mu się kiedyś przydać. Dlatego ruszył na poszukiwania kobiety. Po długich tygodniach tułaczki po lasach Waldu stracił jednak nadzieję, że ją odnajdzie. Będąc pewnym przegranej z losem, zamknął się w opuszczonej pustelni i rozpoczął knowania dotyczące zupełnie nowego planu powrotu do Har.

Ale los matki Lupusa (bo owym niemowlęciem był właśnie przyszedłszy Imperator) okazał się być inny, niż przewidywał Jago. Kobieta, mając wciąż w sobie świadomość człowieka i pamiętając wyrządzone jej w życiu krzywdy, szykany i odtrącenie przez ludzi, teraz w końcu odnalazła spokój. Podróżowała z wilczą watahą po lasach Waldu, nosząc w swym łonie dziecko wilka. Dni mijały wolno i spokojnie, a surowe prawa stada wydawały się być zbawieniem po doznanych krzywdach. Lecz oto nadszedł czas rozwiązania, a wraz z nim koniec działania zaklęcia. Nie mając nikogo do pomocy, oddaliwszy się uprzednio od stada, kobieta urodziła dziecko bez niczyjej pomocy, sama, w lesie, na ściółce. Położyła syna obok siebie, przykrywając go płaszczem. Sama zaś, w kilka minut po porodzie, zmarła z wycieńczenia i zimna. Śmierć spowodowała, że powróciła do ludzkiej postaci.

Los chciał, mimo doraźnych przeciwności, by chłopca znalazł Jago. Ten zabrał go do siebie i uczył. I choć dziecko człowieka i wilka mogło być jak wilk, odważne i mądre, a jak człowiek, sprawiedliwe i dobre, to stało się właśnie odwrotnie. Wszystkie złe ludzkie cechy, jak: niegodziwość, tchórzostwo, próżność i okrucieństwo Lupus przejął z ludzkich nauk od Czarnego Mniacha. Z wilczej krwi, która w nim też płynęła, wziął bezwzględność i szaloną walkę o przetrwanie, bez zważania na wszystko i wszystkich.

W Har rządził wtedy dobry władca, księżę Marvo II. Ukrywający się dotąd w lesie Jago, zdecydował się na swój wielki powrót do miasta. Zakradł się pewnej nocy do zamku księcia. Niepostrzeżenie przemknął obok uspionych zakłębionych strażników. Musiał być ostrożny — nie mógł dać się złapać. Lupus był od dłuższego czasu w „odpowiednim stadium” — stadium, w którym z jednej strony był bardzo silny, ale z drugiej nieświadomy swej roli w planie Mnicha. Ta nieświadomość nie była jednak przecież wieczna, z czego Jago doskonale zdawał sobie sprawę. Przejęcie zamku i władzy zarazem, okazało się łatwiejsze niż przypuszczał. Wystarczyło kilka skutecznych czarów rzuconych na śpiącego księcia Marvo II, by ten już nigdy się nie obudził.

Następnego dnia, gdy Jago ogłaszał dworzanom smutną nowinę, wszyscy byli już pod wpływem jego pokrętnych zakłęb i zdawali się zapomnieć o Marvo II, o słońcu i dobrych czasach. Choć znalazła się też grupka i takich, którzy chcieli bronić wcześniejszego porządku, a nawet zbrukali ręce krwią — swoich matek, dzieci i dawnych przyjaciół — w imię obalonego władcy. Przepelnieni rozpaczą, sami też odbierali sobie życie lub zostali zabici, gdy próbowali uśmiercić młodziutkiego wówczas Lupusa. Większość jednak — za sprawą chytrego Mnicha — przyjęła nową władzę z otwartymi rękami, nie zadając pytań i chcąc pozostać przy życiu za wszelką cenę. Ci właśnie zostali w służbie Lupusa do dziś — ludzie, którzy mieli wpisane w naturę okrucieństwo, którzy kochali zapach krwi swych braci na własnych szatach. Ci, którzy posmakowali nienawiści i wciąż nie mogli zaspokoić jej głodu.

Niedługo później Jago zbudował Hak. Za nieposłuszeństwo wobec władzy groziła śmierć — lecz teraz gorsza i bardziej bolesna, plugawa i bez honoru. Śmierć zwierzęcia prowadzonego na rzeź, a nie śmierć w boju. Straszna i bezsensowna. Jak wszystko w Har.

Dlaczego Jago tak bardzo zależało na władzy sprawowanej przez Lupusa? Dlatego, iż wiedział, że sam nie może jej sprawować. Gdyby zechciał próbować ją przejąć, czekałaby go rychła śmierć z rąk duchów rządzących czarną magią. Zaprzysiężony kodeksem, mógł jedynie próbować oszukać je tak, by nie zorientowały się w porę, co knuje. Jago liczył także jeszcze na coś więcej; nie tylko na władzę. Widział, jak miasto spowija mrok. Mrok powodowany gniewem i smutkiem. Pradawny mrok będący częścią jego planu.

Wiedział, że gdy miasto całkiem się w nim pograży, on będzie mógł przejąć rządy pod jego osłoną, niewidzialny dla duchów, posiadający wówczas większą niż one moc. Moc karmioną szaleństwem, paniką i histerią. Wtedy mógłby rządzić nie tylko w Har czy krainie Waldu, ale może nawet wszystkimi Planetami.

Od samego początku gdy tylko matka przyszłego Imperatora poprosiła go o pomoc w przemianie, wiedział, co robi i dlaczego to robi. Z wielką mocą mógłby odkrywać i zagarniać nowe konstelacje, planety, księżycy... A to było tak kuszące... Ale na to wszystko był jeszcze czas. Na to trzeba było jeszcze poczekać. Tylko jak długo? Bo teraz, niestety, pojawił się problem. Problem mieszańca.

Gdy zło zaczęło sprawować rządy w Har, zebrała się rada Białych Rycerzy. W jej skład wchodziło zazwyczaj pięćdziesięciu mężczyzn. Rada zbierała się już od bardzo dawnych czasów, a jej członkowie byli, jako jedyni ludzie na ziemi, predysponowani do kontaktów z zaświatami. Rada zbierała się, gdy na świecie działo się źle. Dobre duchy podpowiadały, jak rozwiązywać konflikty zbrojne, jak zaradzić klęskom, jak pomóc chorym i głodnym.

Teraz rada zebrała się w obliczu zła, jakiego jeszcze na tym świecie nie było. Już nie wystarczyło zapytać duchy o radę. Trzeba było prosić je o inny rodzaj pomocy. Gdy duchy zobaczyły czarną lunę smutku, która rozpościerała się nad Har, uradziły, że tym razem muszą pomóc ludziom w szczególny sposób. Jednak nie mogły one odmieniać ludzkich serc, gdy tyle w nich było nienawiści i gniewu. Nie mogły też nikogo uśmiercić, nawet w imię słusznej sprawy... Dlatego ustanowiły słowa pewnej Przepowiedni, według której miał się narodzić szczególny mieszkaniec świata — pamiętający jeszcze wieczne dni i noce — Smok. Gad, który już od momentu swych narodzin wiedziałby, jakie jest jego przeznaczenie i do czego został stworzony. Obdarzony pradawną mądrością i siłą miałby zgładzić Człowieka-Wilka i jego sługi. Lecz by walka była równa, a dobro i zło dostały tyle samo szans, Wojownik-Smok ów miał się narodzić w połowie smokiem, a w połowie człowiekiem. Przepowiednia miała też głosić, że Dwunastu wyznaczonych przez Radę Rycerzy ma dopilnować, by Smok wyklął się bezpiecznie. Aby mogło się tak stać, przynajmniej jeden Rycerz musiał być żyjącym świadkiem narodzin. Nie mógł dać się uśmier-

cić przed czasem narodzin Smoka. Musiał żyć... nawet gdyby przyszło mu oddychać resztką sił.

Poprzez ustanowienie Przepowiedni duchy wystawiły na próbę ludzkie serca i dały możliwość zmierzenia się dobra i zła na poziomie profanum. A konkretnie, na poziomie małego miasta Har w krainie Waldu. O tym, która szala jest w górze: z dobrem czy złem, miało mówić drzewo rosnące na dziedzińcu zamku Lupusa. Wszyscy wiedzieli, że jest niezwykle, gdyż dziedziniec ów był jedynym miejscem tej budowli, do którego nie dochodziło nigdy światło słońca. Magiczne drzewo, którego nie można było ściąć. Dlaczego? Bo oznaczałoby to wydanie wyroku skazującego we własnej sprawie. Odebranie drzewu życia, byłoby odebraniem życia jego liściom. A to ostatnia rzecz, na jakiej mogłoby zależeć Lupusowi i Jago. Ale życie drzewa było ściśle powiązane z istnieniem Smoka; żył Smok — musiało żyć i drzewo, kiedy Smok zostanie zgładzony — drzewo straci swą moc, stanie się tylko zwykłą rośliną, pamiątką po Przepowiedni lub... podpałką do kominka.

Bezkarne dotąd władcy już pierwszy Rycerz, który zginął z rąk Imperatora, wyrecytował słowa Wielkiej Przepowiedni:

Długa droga do spokoju, zbyt wysoko jego kiść. Władca Har zrobi wszystko, by ostatni nie spadł liść. Bo gdy spadnie na dziedziniec — tam gdzie ciągle pada mrok, pojawi się przeznaczenie — sprawiedliwy Sędzia-Smok.
